

Woodstockowy zawrót głowy

Wikusiowi, towarzysze mojej podróży

Z pociągu dosłownie wysypujemy się na peron. Wcześniej kilka godzin jechaliśmy jak sardynki, poupychani jeden na drugim. Przy każdej większej stacji dosiadali się do nas nowi pasażerowie – wypchaliśmy pociąg po sam dach. Kostrzyn, nareszcie! Jest kilka minut po siódmej rano. Wreszcie mogę się rozprostować i pooddychać świeżym powietrzem. Niektórzy, starzy bywalcy festiwalu, alkoholowo zaczęli bawić się już podczas podróży. Chyba nie będą nic pamiętać... No cóż, trudno, ci „mniej dysponowani” zostają na stacji, reszta wraz z tłumem „płynie” na pole namiotowe. Plecaki, ludzie, śpiwory, gitary, śmiech.

Namiotów po horyzont. Tłumy ludków. Ludek obok ludka, żartuje grupa z którą przyjechałam. Trzeba znaleźć jakieś miejsce dla siebie. Zmęczenie, pragnienie, głód. W końcu znajdujemy trochę wolnego miejsca w małym lasku, z dala od sceny. Dobrze, jest chociaż trochę cienia, bo upał niemiłosierny. Piach unosi się w powietrzu, zatyka usta, dlatego niektórzy zasłaniają twarz bandankami. Ale zapyziały ten festiwal, myślę. Życ, nie umierać.

Powoli integrujemy się z obozowiczami z innych namiotów. Niektórych nie trzeba pytać z jakiego miasta przyjechali, drzewa przy ich namiotach są przyozdobione wcześniej podwieszonymi tablicami: „Biblioteka miejska w Gdańsku”, „Strażnica leśna Brzozów” „Puławy”....

Na obiad wcinamy kanapki z pasztetem. Ci, bardziej wymagający, kupują jedzenie w budkach ustawionych przy wjeździe na pole namiotowe. Żeby zjeść zapiekankę, schabowego, hamburgera, kiełbasę czy pierogi trzeba wykazać się niemałą cierpliwością. Nie należę do tych, którzy do celu lubią rozpychać się łokciami, ale upartych nie brakuje.

Idziemy zobaczyć festiwalowe pole. Przedtem zapinamy zamki namiotów na kłódkę. Żeby okraść namiot wystarczy tylko przeciąć burty jakimś scyzorykiem. Mała kłódeczka to jakieś poczucie bezpieczeństwa, nawet jeśli złudne. W końcu strzeżonego to i...

Przeciskamy się pomiędzy namiotami, potykając się o linki i zaciągi, na głównych ścieżkach przepychamy się pomiędzy ludźmi. Ciągłe ktoś mnie szturcha, albo ja obijam się o kogoś. Rozglądam się. Tłum ludzi. Więcej nas matka nie miała... Jakiś młody chłopak idzie z psem na smyczy, głośni studenci w ordynarny sposób piją piwo, obok rozkłada się rodzina z małymi dziećmi, młoda hipiska sprzedaje bransoletki z muliny, krisznowcy rozdają ulotki, grupa rockowców wybucha śmiechem, stary facet wyglądający jak swój własny cień „jara trawę”, jacyś młodzi kłócą się o to w jaki sposób rozstawić namiot - amatorzy.

Mija nas grupa chłopców trzymających kartony z napisem „free hugs”, ktoś inny opala się na dachu towarowego samochodu zaparkowanego tuż obok, dwaj księża rozmawiają z grupą nastolatków, harleyowcy z Niemiec dyskutują się o czymś zażarcie, ktoś przebrany za clowna tańczy kankana. Jarmark Europa. To może być jeszcze gorzej niż na

zakopiańskich Krupówkach podczas sezonu, ironicznie żartujemy. Ale za to atmosfera...

Atmosfera jest przyjazna: jeśli ktoś przewróci się na drodze wszyscy go podnoszą, by nie został stratowany, kiedy ktoś przesadzi z piciem alkoholu i zaśnie na stojąco, mijający go dzwonią po Partol Pokojowy, w skład którego wchodzi przeszkoleni wolontariusze, oni oddają takiego delikwenta profesjonalnym służbom medycznym lub ratowniczym, ich też nie brakuje. A jeśli jednak dojdzie do jakiś bardziej niebezpiecznych incydentów wtedy reagują profesjonalne służby porządkowe. Ochroniarzy można rozpoznać po błękitnych koszulkach z logo festiwalu. Wyglądają jak bramkarze największych dyskotek w kraju, aż strach się ich bać.

Udajemy się w stronę wzgórza, tamtejsze namioty należą do Akademii Sztuk Przepięknych. W ciągu całego festiwalu, przed koncertami organizują tam różnego rodzaju warsztaty gitarowe, bębniarskie, taneczne, muzyczne lub plastyczne. Będą tam również przeprowadzone spotkania z takimi sławami jak Andrzej Wajda i Marek Kondrat.

Tam już jest mniej ludzi, można oddychać. I jaka niespodzianka, spotykamy dwóch kolegów z liceum. Rozmawiamy ze sobą, tak jak nigdy wcześniej nie rozmawialiśmy na szkolnym korytarzu. Pytają się czy też przyjechaliśmy prosto z Zakopanego jak oni, jak dotarliśmy, gdzie mamy rozbite namioty i czy jesteśmy całą maturalną klasą - w końcu zaraz nas przyjmą na różne uczelnie i rozjedziemy się każdy w swoją stronę.

Z ASP schodzimy na betonową uliczkę. Stoją tam różnego rodzaju sklepy i stragany.

Ruch jak na Marszałkowskiej. Można wysłać kartkę do rodziców („Mamo, Mamo! Pozdrowienia z Woodstocku. Żyję, jestem cały i zdrowy, kocham Cię i całuję – Twój Krzyś”), kupić bilet powrotny PKP, naładować telefon komórkowy, oddać krew (można dostać karnet na obiad, dobra wymiana), zrobić sobie dredy, doczepić kolorowe warkoczyki do włosów, kupić jakieś gadżety z Woodstocku, torby, koszulki, płyty, bluzy, bransoletki, naszyjniki, kolczyki, nawet mydło i pastę do zębów... Ktoś wciska mi ulotkę krishnowców i zaprasza na obiad w ich wiosce. Tam jedzenie kosztuje kilka groszy i w porównaniu choćby z zapiekankami jest śmiesznie tanie. Ale ta ich kasza polana sosem jest po prostu niezjadliwa.

Wszystko się do mnie lepi. Muszę się umyć. Mogę się umyć pod prysznicem, albo ochlapać wodą przy korytkach wyglądających jak krany. Wybieram pierwszą opcję.

„Który raz jesteś na Woodstocku?” w kolejce do pryszniców „dłuższej jak za komuny” pyta mnie właśnie poznana dwudziestojednoletnia Agnieszka z Zielonej Góry. „-Pierwszy, a Twój?” odpowiadam pytaniem. „-Szósty. Kiedy po raz pierwszy powiedziałam ojcu, że chcę tu przyjechać, nie zgodził się, więc mu odpowiedziałam, że jak chce to może jechać ze mną”. „-I co dalej?” drążę temat, próbując przekrzyczeć inne rozmowy przechodniów, w których polski przeplata się z angielskim i niemieckim. „-Pojechał ze mną i bawił się jeszcze lepiej niż ja” odpowiada i znika mi z pola widzenia. Czekam cierpliwie, mijają mnie mieszkańcy okolic, którzy zbierają puszki po piwie na skup. Muzyczne szaleństwo jeszcze się nie zaczęło, a już wszędzie pełno śmieci.

Piwo można kupić w „wiosce piwnej”, z czego chętnie korzystają uczestnicy zabawy – jest tak gorąco, że nawet nie ma czym oddychać...

Wieczorem na dużej scenie zaczynają grać pierwsze zespoły. Dopiero po występie Eweliny Flinty kierujemy się pod scenę. Łąki Łan – humorystyczny zespół muzyki Funk, przebrany za robaki. Ich muzyka funkcjonuje na zasadzie żartu. Pod sceną 25 tys. ludzi. Kiedy ze zwykłej ciekawości jechałam na Przystanek Woodstock, miałam nadzieję, że spędzę czas bardziej jako obserwator, mniej jak uczestnik, ale atmosfera udzieliła mi się naprawdę szybko i kiedy tylko zaczęła grać muzyka pobiegłam skakać pod samą scenę, w samym środku rozszalałego tłumu. Skaczemy w rytm muzyki, wiruje wszystko.

Ludzki ścisk, w powietrzu piach, flagi, glany, zaciśnięta pieść, szturchnięcie, podskok, łokieć, piwo, rozwiane włosy, czyjaś chusteczka. Podeptane nogi, znów szturchnięcie, pot, czyjaś czapka, transparent, ręczny cios w prezencie od kogoś... i nagle unoszę się, ktoś podnosi mnie na rękach do góry... I oto jestem niesiona ponad tłumem, przekazywana z rąk do rąk...

Polski Festiwal Woodstock jest muzycznym festiwalem przyciągającym rzesze fanów z całego kraju i zagranicy (głównie z Niemiec). Odbywa się co roku w Kostrzynie nad Odrą, na przełomie lipca i sierpnia. Jest całkowicie opłacany przez sponsorów i odbywa się on pod „gołym niebem”, dlatego uczestnicy festiwalu śpią w namiotach. Nazwę „Przystanek Woodstock” wymyślił Jerzy Owsiak nawiązując do amerykańskiego festiwalu w Woodstock i epoki „dzieci kwiatów”. Od 2004 roku, kiedy to festiwal miał miejsce po raz pierwszy, do Kostrzyna, małej miejscowości w województwie lubuskim, co roku przyjeżdżają fani muzyki alternatywnej w każdym wieku, młodzi i ci starsi, a nawet całe rodziny. Z roku na rok przybywa ich coraz więcej ludzi.

Artyści muzyczni zaproszenie na Festiwal traktują go jako wielkie wyróżnienie, mając świadomość, że festiwal w Kostrzynie jest kontynuacją Jarocina. Ten drugi Festiwal odbywa się do tej pory, ale w bardzo dużym stopniu stracił na znaczeniu. Kiedyś był „wentylem wolności i bezpieczeństwa”, gdzie młodzi buntownicy czasów PRL-u przyjeżdżali nie tylko po to, by wyszaleć się muzycznie, ale także by wyrazić swój sprzeciw wobec czasów w jakich przyszło im żyć, ku zgrozie bezpieki, bo siła Jarocina była ogromna. Słynna jest anegdota o tym, jak tłum młodych i zbuntowanych nastolatków podczas koncertu zespołu Perfect zamiast refrenu „chcemy być sobą, chcemy być sobą jeszcze” zaśpiewał „chcemy bić ZOMO, chcemy bić ZOMO wreszcie”. Podobno też na cenzorów w Jarocinie był prosty sposób: wystarczyło tylko ustawić dla nich mały stolik i poczęstować wódką, a oni już potrafili zająć się sobą...

Teraz Woodstock nie musi walczyć o wolność słowa. Ciągłe powtarzane są hasła „peace, love and music”, ale myślę, że od czasów „Dzieci Kwiatów” wiele się zmieniło. Wzniosłe slogany straciły znaczenie, ale została jakaś część z atmosfery, jaka wtedy opanowała różnego rodzaju hippisowskie festiwale muzyczne.

Prawdziwa zabawa zaczyna się wtedy, gdy rozpoczyna się głośnie muzyka. Skacząc można bawić się do białego rana, albo do utraty tchu. Nie wydaje mi się aby rozszalały tłum, bawiący się pod sceną kilka godzin bardzo różnił się od tych prehistorycznych, którzy przed rozpoczęciem zapisywania dat i dokumentowania historii, tańczyli całą noc w transie dookoła ogniska w rytm bębnow. I tak następują po sobie: Papa Roach, Nigel Kennedy, Armia oraz Lao-che...

W przedpołudnie, przed koncertami można robić dużo ciekawych rzeczy: rozmawiać z różnymi ludźmi, zazwyczaj przyjacielsko nastawionych do nieznanymi wcześniej osób, zaglądnąć do wioski Kriszny, albo udać się w przeciwnym kierunku do Przystanka Jezus, gdzie księża oraz siostry zakonne wraz z młodymi członkami młodzieżowych

organizacji działających w Kościele Katolickim ewangelizują festiwalowiczów, organizują ciekawe happenings oraz różnego rodzaju dyskusje.

Niektórzy odsypiają nieprzespaną noc pełną podskoków w rytm muzyki, inni czekają na swoje miejsce pod prysznicami, albo próbują dopchać się do kraników, by umyć zęby, albo przetrzeć brudne stopy. To ostatnie zdaje się być daremne, ponieważ woda, która wylewa się z kraników, a później miesza się z ziemią tworzy wszechobecne błoto. Bardziej zwariowani woodstockowicze przebierają się w stroje kąpielowe i idą chlapać się pod małą fontannę ustawioną obok Dużej Sceny, a ci najbardziej szaleni skaczą na bungee. Zresztą, żartujemy, nie większą odwagą trzeba się wykazać aby skorzystać z „toi-toi”, niebieskich przenośnych ubikacji ustawianych w rzędkach prawie kilometrami, to jest równie ekstremalne zadanie... Wszędzie ludzie, ludzie, ludzie. Czego my tu nie mamy? Przystanek Dżungla.

Jeśli komuś, po południu brakuje rozrywki może iść pod Małą Scenę, albo Scenę Folkową. Tam też występują różne ciekawe zespoły, tym sposobem muzyka na festiwalu gra non-stop. Dzieciaki z Arki Noego, dziecięcego zespołu, który wykonuje piosenki o tematyce religijnej, przeszły same siebie. Koncert na małej Scenie Folkowej okazał się być najlepszym i najmilej przeze mnie wspomnianym. Nigdy wcześniej nie byłam na koncercie, po którym byłabym mokra jakbym wyskoczyła spod prysznica i szczęśliwa, jakbym się napiła czegoś mocniejszego... Wieczorem znów cały ten woodstockowy bajzel zbiera się pod Dużą Sceną by ponownie całą noc skakać, skakać i dobrze się bawić...

Tak można przeżyć kilka wakacyjnych dni. Tak wyglądają pola Kostrzyna na przełomie lipca i sierpnia.

Krajobraz po festiwalu przypomina krajobraz miasta po wojnie, albo miejsca przez które przeszła szarańcza. Po kilku festiwalowych dniach powrót do domu już nie ciasnym, dusznym pociągiem, który sam w sobie jest wielkim wydarzeniem, ale auto-stopem, by przedłużyć niesamowitą przygodę.

Byłam na ogromnych polach namiotowych Kostrzyna, rozmawiałam z różnymi ludźmi, razem z nimi jadłam i tańczyłam, wspólnie graliśmy na gitarach i śpiewaliśmy przez pół nocy, razem waliliśmy w bębny na warsztatach na ASP i laliśmy się wodą pod kranikami-korytkami.

Patrzyłam na kilka festiwalowych dni trzeźwym okiem. Widziałam wielu młodych, ciekawych ludzi, którzy przyjechali na festiwal żeby się rozerwać, czasem głośniejszy i bardziej kolorowo od innych, przesadzając trochę jak tańczące myszy bez kota ograniczeń. Widziałam matki z dziećmi, wielu uśmiechniętych ludzi, księży, którzy podchodzili do każdego, kto tylko chciał słuchać, albo szaleli ze wszystkimi pod sceną, krisznowców tępo i do znudzenia powtarzających „harekrisnaharehare”. Widziałam ludzi, którzy dzielili się ze sobą wodą oraz kulturalnie pili piwo gdzieś w cieniu.

Patrzyłam trzeźwo na utopijny napis „peace, love and music”.

Bo oprócz tych, którzy chcieli się na chwilę rozerwać, by wrócić z powrotem do normalnego życia, widziałam ludzi, którzy nie patrzyli się na mnie tak trzeźwo jak ja na nich, ale spoglądali mnie przez naćpane, zniszczone źrenice. Snuli się powoli, płynęli jak cienie, chudzi jak wykałaczką, martwi jak wieszak, na którym tylko wisi brudne, potargane ubranie. Błdzi i chudzi żebrzący o coś do jedzenia przy budkach z hamburgerami, albo chodzący od namiotu, do namiotu proszący o jakikolwiek trunek do „wielkiej dolewki”, czyli do jednego kubka, do którego wlewano wszystko, co się miało pod ręką: wódkę, wino, piwo, wiśniówkę...

Patrzyłam trzeźwym okiem na tych, którzy patrzyli na mnie naćpani, patrzyłam z przerażeniem i smutkiem, na młodych w starych, zrujnowanych ciałach, i zastanawiałam się gdzie jest granica między zdrową, ograniczoną wolnością, a zabawą bez końca i powrotu, prowadzącą do zniewolenia najgorszego, bo swojego własnego.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Karol Oczycha, dodano 23.11.2011 14:10

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.